

W wielkim zamku, na szczycie samotnej góry, bawiło się dwoje dzieci. W tę najdłuższą w roku noc, w tym samym zamku znajdowała się też inna dwójka.

Dwa bijące serca - tu-dum, tu-dum - i dwa milczące.

* * *

Poplamione rdzą ostrze z wolna, lecz śmieie obnażało kobiece ciało: kawałek po kawałku. Białe piersi - po których właśnie przejechało - zdawały się być podrażnione od chłodu, zaś złączone ze sobą krągłe uda, skrywały przed cudzym spojrzeniem intymne sekrety. Nie młoda, ani nie stara. Nie martwa, bo nigdy nie żywa.

Wcześniej zaczerwieniona od szczypiącego mrozu twarz mężczyzny, przybrała barwy dojrzałego wina. Nie był już młodzieniaszkiem, co dało się zauważyć po białych, przypominających pajęcze nici włosach, opadających spod kaptura na jego twarz, która (pomimo wieku jej właściciela) nie była nadto pomarszczona; szpeciły ją za to liczne blizny. Siedząc na żółwiej skorupie dłużył kozikiem w kawałku bukowego drewna, od czasu do czasu zdmuchując nagromadzony wiór; podczas gdy upiorny mróz zaciskał na nim swe szpony.

Polny wiatr świszczął, szumiał, syczał; szepcząc do ucha w pradawnym języku. Wzruszał taflę oceanu bujnej trawy, nawiedzał wąwozy i doły, co chwilę przyspieszał i zwalniał, przyspieszał i na chwilę ustawał; zaglądał do ruin dawno opuszczonych, porośniętych mchem i fioletowymi kwiatami chat, które teraz swym wyglądem bardziej przywodziły na myśl kurhany, aniżeli dawne domostwa. Mężczyzna równe trzy dni maszerował przez ten martwy step, by dotrzeć tu, w miejsce z którego wyruszy do zamku. Teraz siedział na żółwiej skorupie, pochłonięty twórczą pasją; za jego plecami zaś, rozległy świerkowy las, niczym wisielczy sznur, oplatał samotną górę. Mieszkańcy pobliskich miast i wsi z dala omijali te tereny, choć zdarzali się tacy, co w pogoni za sławą, porywali się z motyką na słońce... głupcy – już nie wracali. Ludzie powiadali, że zabierał ich cień góry, lecz nikt tak naprawdę nie wiedział, co się z nimi działo. Możliwe, że po dziś dzień, oni bądź ich dusze snują się zbłąkani wśród labiryntu igieł.

Bestia nie był głupcem. Był Łowcą.

Ludzie nazywali go Bestią, ponieważ wzbudzał w nich strach – choć nigdy nie skrzywdził człowieka (chyba, że któryś sam się o to prosił). Mimo to niechętnie – aczkolwiek często nie mając wyjścia – przychodzili do niego prosząc o pomoc, której udzielenia zazwyczaj nie odmawiał. W dawnych czasach świat pełen był przeróżnych kreatur. Liczne plagi zsyłane za pomocą czarnej magii nękały biednych, jak i tych bogatych; rzadziej niewinnych, niż tych mających coś na sumieniu. Zło korumpowało także ludzkie serca, toteż Łowca postawił sobie jeden cel: wytępienie wszelkiego plugastwa. Jego dłonie plamiła krew wielu niegodziwych istot: upiorny bocian albinos pożerający noworodki, których szczątki znajdowano wypłute na polach kapusty; wiewiórkołak, któremu ludzka głowa zanadto przypominała wielki orzech; żądny krwi pijawkozaur; czy też olbrzymi żółw ludożerca. Ścierwa tych i tysiąca tysięcy innych stworów gniły tworząc wielką stertę, na której szczycie stał on – Bestia. Był mańkutem.

Chytre - różowe jak oko albinotycznego bociana, bądź też jego nieopierzone genitalia – słońce, chowało się pod powieką ziemi, zabierając ze sobą życiodajne światło i okradając trawę z jej zieleni. Mężczyzna zdmuchnął ostatnie strzępy drewna zalegające na dokończony już figurce. Co niektóre powbijały się w jeszcze ciepłe, parujące odchody, pozostawione przez jaskółkę na jego prawym bucie. Ot wielki zwiastun szczęścia – ptasia kupa. Bestia schował swe dzieło do kieszeni kożucha, po czym podniósł się leniwie z olbrzymiej żółwiej skorupy i przeciągnął, przypominając przy tym niedźwiedzia stojącego na tylnych łapach. Świetnie, pomyślał po tym, jak spadająca z nieba kropla rozbiła się na jego kar-

toflanym nosie. Nad jego głową kłębiły się burzowe chmury, formując karykaturalne bałwany z sadzy.

Na próżno by szukać drugiego takiego miejsca, w którym klimat wyglądał by jak ten panujący w okolicy góry. W krainie, gdzie latem doskwierały piekielne upały, tutaj, w pobliżu góry (a była położona mniej więcej pośrodku owej krainy) panowały siarczyste mrozy; zaś kiedy zimą, wszędzie wokół, jeziora i rzeki skute były grubą warstwą lodu, tu woda w niewielkich strumykach i sadzawkach mrozu się nie miała. Burze były jednak codziennością; tak jakby wielki magnes w postaci samotnej góry przyciągał chmury ze wszystkich stron świata. *Magicae*.

* * *

Czarny cień należący do białej zjawy gramolił się między gałęziami, zmierzając w kierunku siedzącego na skraju lasu mężczyzny. I raz i dwa – jedna łapa, druga łapa. I trzy i cztery – bezszelestnie, niczym mysz. I raz i dwa – bucha para z nozdrzy. I trzy i cztery – w paszczy wielkie nosi kły. Przystanęła na moment. Czarne ślepia powędrowały w górę, gdzie na niezajętym przez powykręcane chmurowe bałwany skrawku nieba, przeleciała spadająca gwiazda. Jedna chwila i pół następnej. Para buchnęła z pyska. Machina znów ruszyła. Z boku na bok, na bok z boku. I raz i dwa. I trzy i cztery. Krok po kroku, śmierć czuć wokół.

* * *

Ujrzyj gwiazdę spadającą,
Swe życzenie powierz jej.
Gdy zachowasz je w sekrecie,
A nie miną pełnie dwie
Gwiazda błysnie rozświetlona,
Wtem życzenie spełni się.

Zanucił drwiąco, kiedy blady ogon gwiazdy odbił się rysą na jego źrenicy. Nie wierzył w magiczną moc życzeń. Uważał, że ten rodzaj magii – magię nadziei (sam wołał nazwę: magia głupców) – wymyślili ludzie. Była ich urojeniem. Świecą w ciemnościach. Kontrastem i marną odpowiedzią na magię o której Bestia wiedział, że jest prawdziwa – czarną magię.

Już czas. - wyszeptał do siebie.

Wielki kształt wynurzał się spomiędzy drzew, nie spuszczać mężczyzny z oczu.

- W samą porę. – to rzekłszy obrócił się w stronę przybysza.

Była nie dalej jak pięć metrów od niego. Wielka, biała... zabójcza.

- Rooour! – ryknęła, a powietrze zawibrowało.

- Dobrze, że chociaż ty się najadłaś.

- Grar. – w głosie niedźwiedzicy wyczuwalny był żal.

- Ha! Masz ci, wielce pokrzywdzona. Sam głodnym jak wilkołak, a ty mi tu narzekasz na lekko nieświeżą padlinę. – oburzył się na chwilę – Mniejsza. Pora wyruszać.

Biała niedźwiedzica sięgała nieco ponad biodra Łowcy. Spojrzała na niego i mruknęła ciepłym basem.

- Daj spokój Betsy. – odpowiedział jej, zarzucając na plecy żółwią skorupę, tę samą która wcześniej służyła mu za siedzisko – Dotrzemy na miejsce, zrobimy naszą robotę i po sprawie.

A ja w końcu poznam dalszą część historii – dodał w myślach, ręką sięgając głęboko w przepastną kieszeń kożucha, gdzie spoczywał niewielki tomik z pożółkłymi kartkami. Zacerwienił się, przez co jego twarz wyglądała teraz jak wielki rubin z brodą. Po czym razem z niedźwiedzicą, zanurzyli się w półmrok drzew.

Lekki deszczyk nabrał wymiaru tropikalnej ulewy. Gęsty las skutecznie chronił ich przed wścibskim wiatrem, jednak trochę gorzej radził sobie z nawałnicą lodowatych kropel. Obłoki pary wydobywającej się z ich ust, ulatywały ku niewidocznym czubkom świerków. W wilgotnym powietrzu czuli intensywny zapach żywicy, która wyciekała obficie z pni drzew i ozdabiała miriady gałązek. Lepkie krople emanowały bursztynowym światłem: rozganiając mrok i ujawniając sekrety świerkowego boru.

Po drodze natykali się na różne przeróżności, jak i przeróżne różności. A także na przeróżnej różności różnorodności. Parę razy musieli nawet zboczyć z drogi, żeby niektóre z nich ominąć. Tak robili, gdy natykali się na te dziwne grzyby wyglądem przypominające spiżowe dzwony. Były o wiele większe od grzybów na co dzień spotykanych i bardziej podstępne, o ile o grzybach można powiedzieć, że bywają podstępne: te z pewnością były. Niejednokrotnie Bestii wydawało się, że widzi nieme postacie, przywołujące go do siebie nienaturalnymi gestami. Dopiero po jakimś czasie zauważył, że te wyłaniające się znikąd ludzkie widma, to nic innego jak projekcje uformowane z pyłu wypuszczanego przez kapelusze, owych sprytnych, dziwacznych grzybów. Innym razem Łowca odkrył, że to co z początku brał za pajęcze sieci, to nie pajęcze sieci, tylko sieciowe pająki: fioletowe stworzenia wędrujące wśród gałęzi ponad ich głowami, na pozór tylko przypominające pajęczynę. Nawet drzewa zdawały się poruszać, a czasem przemawiać w obcym języku. Niektóre zerkwały na nich z niedowierzaniem, inne jakby z nich drwiły. Krople deszczu spadały głucho na miękką ściółkę.

Mężczyzna zatrzymał się gwałtownie, tak że jego towarzysza idąca tuż za nim omal na niego nie wpadła. Gapił się przez chwilę, niby w próżnię, po czym odrzucił do tyłu kaptur i podrapał po głowie. Przed nimi, pomiędzy skupiska paproci wystawał omszały głaz z wyżłobionym u góry dołkiem: upośledzony cyklop wychylający kamienny czerep z zarośli, zerkający na nich swym jednym jedynym okiem.

- Niech mnie dudle zeżrą żywcem, mówię ci, jeśli to nie któryś już raz jak mijamy ten cholerny kamyk – rzekł Bestia, po czym splunął na bok gęstą harą, ta przykleiła się do gałęzi i zawisa dyndając jak wisior – Spróbujemy tędy – rzucił, prowadząc Betsy ku wąskiemu przesmykowi między dwoma starymi świerkami, tym razem mijając głaz z lewej strony.

Teren powoli się wznosił, co nieco go uspokoiło. Im wyżej, tym bliżej góry. Żarzące się w ciemnościach ślepie spoglądały na nich z różnych stron, co chwile znikając, by za moment pojawić w nowym miejscu. Nie odczuwali strachu, maszerowali przed siebie pewni trasy którą podążali. Mężczyzna którego zwali Bestią i jego partnerka, niedźwiedzica o imieniu Betsy. Ich uszu dobiegł dźwięk. Bestia wiedział, że może to być albo odgłos sikającego w krzakach olbrzyma, albo... Zamknięte rany na jego spękanych ustach otworzyły się i zalśniły krwistą czerwienią w bursztynowym świetle żywicy. Szeroki uśmiech pełen satysfakcji nawiedził miejsce pod pyramą którą oddychał. Dotarli do wartko płynącego strumyka. Czysta niczym kryształ woda płynęła beztrudno, podskakując co chwila na kamienistych wybojach. Łowca znów się zatrzymał. Podparł dziarsko boki rękoma uśmiechając się jednym kącikiem ust i po raz kolejny splunął na bok; po czym obrócił się na pięcie w kierunku swej towarzyszki i w tryumfalnym geście splótł ręce na klatce piersiowej. Chmara muszek otaczała go, niczym grono apostołów.

- Teraz wystarczy że pójdziemy w górę... - przerwał. Był szary, śliski i lśniący od wody. Nie było wokół niego paproci, ani nie porastał go mech, jednak ten – przecinający strumień niczym bezręki Mojżesz – głaz, łudząco przypominał cholerny kamyk, który mijali już wcześniej. Niedźwiedzica jęknęła pytająco.

- Strumienia. Wystarczy. Że pójdziemy w górę. Strumienia. I tyle – powtórzył, cały czas wpatrując się w skałę, która wydawało by się odwzajemniała spojrzenie, patrząc nań jednym okiem.

Po chwili ruszyli dalej. Łowca jeszcze kilka razy oglądał się za siebie; kamień wciąż tam był, jednak z dalszej odległości nie wyglądał już tak znajomo. Co raz bardziej przekonany, że to wszystko dzieje się w jego głowie; winą obarczając pusty żołądek i lekkie odwodnienie (nie wliczając w to przemarznięcia) z każdym krokiem odzyskiwał pewność siebie. Krople deszczu – który znacznie stracił na intensywności -

przebiły się przez zimne nieruchome powietrze, tak gęste, że nawet czas zdawał się płynąć w nim wolniej. Jarząca się oranżem żywica nie była już jedynym źródłem światła. Woda w strumieniu uspokoiła swój bieg i teraz niczym lustro odbijała światło gwiazd i księżyca.

Tylko skąd te odbicia? Czyżby niebo uwolniło się spod bałwaniej okupacji? Tego nie wiedzieli, chociaż obydwójce w to wątpili. Spojrzawszy w górę nie widzieli gwiazd, ani księżyca, chmur, czy karykaturalnych tworów. Widzieli natomiast ogrom. Drzewa nie mające czubków ciągnęły się w górę bez końca. Oboje mieli wrażenie, że są przez nie otoczeni jakby znajdowali się na dnie drewnianej studni, że w każdej chwili grawitacja może zadziałać w odwrotną stronę i spadną w ten bezkres gałęzi i iglastych liści, aż w końcu pokonają granicę czubków olbrzymich drzew. Tylko że tam nie będzie niczego, prócz gwiazd i księżyca, dryfujących i lekko falujących na tafli czarnego aksamitu. Bestia spuścił wzrok po tym jak poczuł, że zaczyna mu się kręcić w głowie. Kciukiem i palcem wskazującym pocierał wolnymi kolistymi ruchami powieki zamkniętych oczu. W skroni czuł lekkie pulsowanie, które powoli przechodziło, ale za chwilę miało się jeszcze nasilić. Zrobiło się dziwnie cicho. Coś ucichło. Coś istotnego.

Otworzył oczy. Światło gwiazd i księżyca zniknęło, zniknął też dźwięk sikającego olbrzymia, a wraz z nim zniknął strumień. Bestia zerknął na Betsy, jakby ta ukryła płynącą wodę w kapeluszu który cały czas miała przy sobie, czekając na tę właśnie okazję, żeby pochwalić się magiczną sztuczką. Niedźwiedzica stała obok. Nie miała ze sobą kapelusza, zamiast tego węszyła w powietrzu z zadartym do góry pyskiem. Znow się rozpadało, albo może to deszcz znow ich dosięgał. Gdyby spojrzał ku górze, zobaczył by, że stoją teraz w leśnym atrium, a nad nimi odbywa się karnawał burzowych bałwanów z sadzy. Nie zauważył ani deszczu, ani tego, że jakimś sposobem nie znajdują się już w studni drzew. Patrzył na nie, a one na niego. Dwoje oczu, dwa puste spojrzenia. Bezręki Mojżesz i ułomny cyklop w kępie paproci stojące tak blisko siebie, że mogły by sobie podać ręce, oczywiście gdyby je miały. Pulsowanie w skroni powróciło ze zdwojoną siłą. Sieciowy pajak pożywiał się gdzieś niedaleko upolowanym motylem.

Betsy zaprzestała badania terenu i obserwowała swojego właściciela.

- Czego, he? – wrzasnął, wielkimi krokami zmierzając ku dwóm skałom.

- Co was tak śmieszy? – solidnym kopniakiem obdarzył kamiennego Mojżesza, ścierając na nim jaskółczą kupę z buta.

Poczuł przeszywający ból w nodze sięgający do biodra. Oparł się rękoma o kolana, dysząc ciężko; Mojżesz pozostał nieporuszony całym zajściem, wraz z cyklopem celowali w niego ciemnymi oczodołami.

- Śmieją się z nas, Betsy. Mówię ci. A ja już mam dosyć. Nie wiemy gdzie jesteśmy, nie wiemy w którą stronę mamy iść. Szlak! – splunął daleko w bok; sieciowy pajak ledwo uniknął flegmy, która leciała na niego jak meteor na planetę dinozaurów - Jestem głodny i wiesz co? O tak! Usiądę sobie! - Udał się parę kroków na bok (w kierunku przeciwnym do tego w którym wcześniej splunął) i klapnął ciężkim zadem na kępę mchu szepcząc coś pod nosem.

Podczas gdy mężczyzna przeżywał chwilowe załamanie, niedźwiedzica badała teren dookoła, swym nad wyraz wyczulonym węchem. Niczym wielki futrzany miech rozdmuchiwała na boki zmoczone igły, węsząc zaciekle z nosem przy ziemi. Jej nozdrzy dobiegł zapach jagód. Niedaleko jednookich głazów rósł owocowy krzak. Czarne owoce ozdabiały gałązki krzewu. Betsy oblizała pysk długim jęzorem i z entuzjazmem godnym największego odkrywcy w chwili przełomowego odkrycia, ruszyła w stronę pachnących atramentowych kulek. Z powiększonymi żrenicami i ciekącą z pyska śliną przebiegała wielkimi łapami, pociągając niezgrabnie pazurami po leśnym poszyciu. Czarno-granatowe owoce, duże jak żrenice niedźwiedzicy, z zachłannością czarnej dziury pożerały światło lekkim blaskiem wydalaając jego resztki. Mało brakowało, a by go stratowała, jednak zdążyła wyhamować. Nic nie przemawiało do jej kubków smakowych tak jak leśne owoce. Zaciągnęła się głęboko; krzak zniekształcił się i wydłużył, niemal wciągnięty przez nozdrza potwora, który teraz rozdziawiał swą paszczę tak, aby jednym kłapnięciem straszliwych szczęk pożreć go całego na raz. Wtem – zupełnie nieoczekiwanie – ów żarłoczne monstrum zamknęło pysk i trzy szybkie razy pociągnęło nosem. Niedźwiedzica skierowała pysk ku skale, którą ob-

rastały prehistoryczne paprocie. Dwa nosy – jeden duży, drugi mały – niemal stykały się i obwąchiwały nawzajem. Na skale stało filigranowe żyjtko, które przerwało rytuał obwąchiwania cichym świstem; Betsy odpowiedziała mu pomrukiem.

- Cóż że znowu?! – Rzucił wyrwany z letargu Bestia. – Jakie jagody?! Znów się obżerasz?! Jadłaś jeszcze zanim weszliśmy w ten grzmocony las. Z resztą nie mów mi o jedzeniu... - niedźwiedzica przerwała mu przeciągłym rykiem, modulując głos; raz niżej, raz wyżej.

- Co? Jaki znowu elf? Do siedmiu diabłów! Jak piwo kocham zatrułaś się tymi jagodami, bo ja tutaj żadnego nie widzę – zaczerwienił się ze złości.

Mimo nerwów podniósł się opieszale z kępy mchu, klnąc pod nosem i otrzepując z wszelkiego rodzaju pokracznego robactwa, które zdążyło obleźć go podczas posiedzenia.

- Książę chomiczych elfów powiadasz? – spytał, mimo nerwów, zaintrygowany.

Pogładził zarost dłonią chwytając przy okazji tłustego robala który schronił się w jego brodzie, myśląc że to niezłe miejsce na uwicie sobie gniazdka – naprawdę całkiem niezłe. Nieborak próbował wyrwać się z żelaznego uścisku silnych palców, wijąc się i wierzgając na wszelkie możliwe strony, jakie tylko umożliwiała mu jego anatomia. Mimo nieudolnych prób i tak skończył w ustach swego oprawcy, zmiażdżony przez jego zęby. Plask. Soczysty robal. Jedno z odnóży poruszało się w ostatnich konwulsjach i zniechęceniście wystając z pomiędzy kła i siekacza. Po tym niewielkim posiłku uwaga Łowcy z powrotem powędrowała ku zwierzątku stojącemu na kamiennym cyklopie. Miało nie więcej niż trzy cale i małą brodę z mchu. Mech porastał też jego ciało na przemian z puchowym futrem z gdzieś wyrastającą czterolistną koniczyną. Z czubka głowy wystawało jelenie poroże; prócz tego niewiele różnił się od zwykłego chomika, choć te cechy robiły wystarczająco, żeby zauważyć, iż takim nie jest.

- Ha! Mówię ci. Nie spodziewałem się, że pokonanie tego przeklętego lasu przysporzy nam tylu nerwów, ale teraz to bez znaczenia. Bo jak ci ufam, to ten o to ty ci jegomość zaprowadzi nas pod samą górę – na jego twarzy ponownie zawitał popękany uśmiech.

- Rooor.

- Nie ma mowy Betsy. Jagody będą musiały poczekać – odpowiedział jej nawet na nią nie patrząc – Nie ma czasu do stracenia. Ruszajmy mości elfie!

Przyływ entuzjazmu pozwolił zapomnieć Bestii o mrozie i głodzie, który w niewielkim stopniu udało mu się zaspokoić. Co więcej, obecność specyficznego przewodnika, w pewien magiczny sposób wpływała na dwójkę przyjaciół. W sielskim nastroju, szli prowadzeni przez małego księcia, podczas gdy Bestia odpływał myślami do przeszłości, wspominając dawne dzieje.

* * *

Las zniknął sprzed jego oczu, zastąpiony obrazem wielkiego lodowca. Zimno przestało mu przeszkadzać, albowiem teraz było tylko uczuciem na poziomie jego świadomości. Stał na brzegu lodowej wyspy; za nim rozpościerał się arktyczny ocean poprzebijany porcelanowymi sztyletami w postaci lodowych gór. Zawieszone wysoko na czystym różowym niebie słońce, odbijało swe światło od niebieskobiałych powierzchni raniąc jego oczy; starało się go oślepić, ukryć mroczne tajemnice wyspy przed jego spojrzeniem... bezskutecznie: popękane kadłuby statków, poniewierające się koła sterowe, wyrastające ze śniegu maszty z resztkami zagłi targanymi przez mroźny wiatr powtarzający smutną pieśń załogi, zdradzały obecność kryjącego się w pobliżu zła. Bestia ekscytował się tym widokiem. Na jego skórze pojawiła się gęsia skórka, bynajmniej nie ze strachu, lecz z podniecenia. Zaciągnął się głęboko alkalicznym powietrzem; włoski w jego nosie zeszytywniały od mrozu i skruszyły przy wydechu, wylatując z zaczerwienionego kartofla w postaci kryształowych drobinek, mieniających się w blasku słońca.

Wyczuwał źródło mroku, tak jak ogary wyczuwają tropioną zwierzynę. Znał kierunek, jednak nie znał odległości. Wielki kawał lodowca odłamał się i zsunął w lodowate odmęty rozległego oceanu, wypełnia-

jąc ciszę paraliżującym hukiem. Nie zwlekając dłużej, ruszył biegiem ku białej, wysokiej na jakieś sto metrów, litej ścianie; przy każdym stąpieniu dyszał ciężko, wypuszczając z ust obłoki pary. Nie szersza niż dwa metry szczelina dzieliła lodowy mur na dwoje. Była na wprost niego. Wbiegł w nią ogarnięty ściskającym jego serce smutkiem. Ohydne uczucie zbezczeszczenia. Biel zbrukana czernią. Czarna magia w jej najgorszej postaci.

Błękit ścian szczeliny, tak gładkich, że widział w nich swoje mętne odbicie, był chłodniejszy niż arktyczne powietrze. Śnieżny korytarz skręcał co chwilę. Rozgałęział się na dwie, czasem trzy odnogi, lecz Bestia bezbłędnie wybierał drogę, jakby znał te korytarze jak własną kieszeń. Pędził w głąb królestwa lodowej wiedzy. Śnieg skrzypiał pod ciężarem jego stóp.

Nieoczekiwanie, tempo z którym biegł zaczęło maleć. Kierunek w którym biegł, był coraz mniej oczywisty. Błękitne ściany cofały się, wyprzedzały go. Po chwili znów był na brzegu lodowatej wyspy, wśród drewnianych szczątków niegdysiejszych okrętów. Serce obracało się wewnątrz jego piersi, mieląc smutki na przemian: ten który czuł niedawno, z tym który czuł wcześniej? Ten wcześniejszy z tym który czuł kiedyś? Ten niedawny ze smutkiem który miał dopiero poczuć? Nie wiedział, był skołowany. Biel przed nim zaczęła gnąć – pleśnieć. Mieszała się, albo raczej była zastępowana zielenią, brązami i szarością. Połamane maszty prostowały się i mnożyły, po chwili będąc wszędzie. Cały świat zaczął się obracać. On też zaczął się obracać, tyle że w przeciwnym kierunku. Biel znikła całkowicie – przez chwilę nic nie widział. Oczy otwarły się szeroko, źrenice eksplodowały. Był z powrotem. W lesie. Spojrzał na niedźwiedzice oniemiały, domagający się wyjaśnień, zbudzony z głębokiego snu.

- Roooooar! – wyjaśniła Betsy.

- K***a!!! – odpowiedział, wyraźnie niezadowolony z jej wyjaśnienia.

Podniósł prawą nogę obutą w wysłużony kozak, tę naznaczoną wcześniej ptasim łajnem. Książę chomiczych elfów leżał zmiażdżony w miejscu, w którym wielki bucior Bestii odcisnął swoją podeszwę. Z małego truchelka sączyła się na różne strony turkusowa krew. Cienkie stróżki płynęły wśród poszycia tworząc symetryczne, skomplikowane figury. Gdyby Bestia był teraz w pełni świadomy, zastanawiał by się pewnie, w jaki sposób taka ilość płynu zmieściła się w tak niewielkim naczyniu. Krew rozplątała się nie tylko po glebie; w niektórych miejscach zaczęła piętrzyć się w górę, formując coś na kształt płynnych macek. Bestia cofnął się kilka kroków. Las umilkł, choć w koło przybyło par czerwonych ślepiów. Macki pięły się coraz wyżej. Ich płynna struktura stawała się coraz bardziej lita, mimo to delikatna; na boki wypuszczały płaskie zielone listki w kształcie walentynkowych serduszek, poprzecinane ciemnozielonymi żyłkami. Po chwili, niewielki skrawek ziemi po którym rozlała się krew małego monarchy, porastały sięgające kolan rośliny, o dużych okrągłych pąkach. Dookoła zebrało się tuzin skał z pojedynczymi wyżłobieniami, a wśród nich: bezręki Mojżesz i ułomny cyklop porośnięty mchem. Leciwe świerki (bo tylko takie rosły tu, w głębi lasu) pochyliły się, by wraz z Łowcą i niedźwiedzicą podziwiać pokaz białej – bardzo rzadkiej – magii. Chmury rozstały się, odkrywając fragment nocnego nieba z bladą tarczą pełnego księżyca.

W jednej chwili pąki roślin eksplodowały. Z pięknych kwiatów uleciały setki kolorowych, eterycznych motyli, które nie ulatując daleko pękały niczym mydlane bańki. Pył pozostały po motylach płynął wstęgami w powietrzu, tworząc spirale, pętle i inne fikuśne wzory. Wszystkie wstęgi zmierzały ku jednemu miejscu, a było nim centrum kwietnika, które pulsowało jasnym światłem. Gdy ostatnie drobinki pyłu zakończyły swoją podróż, oślepiający blask zalał okolicę, by po chwili opaść i wsiąknąć w mech. W miejscu, w którym jeszcze niedawno spoczywało ciało księcia chomiczych elfów, rósł wspinały kwiat o pogodnej buzi, z uśmiechem patrzącej na Bestię.

Łowca stał osłupiały, jakby sam zapuścił korzenie. Powoli opuścił rękę, którą zasłonił twarz przed blaskiem światła i spojrzał na wpatrującą się w niego uśmiechniętą buzię; mrugał z częstotliwością łopotania skrzydeł kolibra. Betsy podeszła do niego i polizała po szorstkiej dłoni. W powietrzu unosił się delikatny zapach kwiatów, piękniejszy niżli w królewskich ogrodach, zawierający w sobie wszystkie cnoty

świata.

Komunikacyjny most połączył go z istotą rosnącą przed nim. Czuł przepływ informacji, jego myśli mieszały się z obcymi, aż w końcu zostały kompletnie wyparte; powoli zaczynał wszystko rozumieć. Spojrzał przez ramię. Wśród zbitych razem starych świerków ział otwór – korytarz, którego wcześniej nie było. Z powrotem skierował wzrok na kwiat; uśmiechnięta buzia – dwoje czarnych oczu, czarna kreska ust, bez nosa – patrzyła nań, od czasu do czasu mrugając. Ukłonił się nisko i długo, a gdy się wyprostował, poklepał swą towarzyszkę – niedźwiedzicę – po grzbiecie.

- Ruszamy.

* * *

Szli leśnym korytarzem, skryci wśród starych świerkowych drzew. Księżyc w dalszym ciągu oświeślał kwiecisty krąg, który pozostawili za sobą. Kamieniste głowy patrzyły na nich pustymi oczodołami, ustawione wzdłuż ścieżki.

- On był kluczem – podjął mężczyzna, przerywając milczenie – bez jego poświęcenia można by latami wędrować po lesie, a mimo to nie ujrzeć góry, nie mówiąc o wydostaniu się. W miejscu, gdzie rosną te kwiaty i ten wśród nich najwspanialszy, narodzi się nowy książę, wtedy te przekwitną i uwiędną. Był naprawdę stary, mówię ci, gdyż dawno nikogo stąd nie wypuścił. Nawet w białej magii jest odrobinę czerni, nie uważasz?

Świerkowy bór powoli rzednął, z pomiędzy gałęzi wyłaniała się szarość skalnej ściany góry. Ołowiane chmury wiły się na niebie, niczym gniazdo grubych śliskich węży. Bestia postawił kołnierz kozucha i ponownie zarzucił na głowę kaptur, chroniąc się przed narastającą nawałnicą.

Dotarli do podnóża; Łowca przejechał dłonią po szorstkiej kamiennej powierzchni. Po ich prawej miały swój początek skalne schody, prowadzące spiralą do celu ich podróży. Czas ich naglił więc bez chwili zwłoki wkroczyli na kamienne stopnie. Łowca spojrzał w dół. U stóp góry zebrała się spora gromadka jednookich głazów. Ich spojrzenia, mimo iż puste, zdawały się nasiąknięte żalem i smutkiem.

- No już! Wracajcie do siebie, do własnych zajęć. My mamy swoje sprawy – machał na nie ręką, jakby przeganiał upierdliwą muchę – cholerne kamienie.

- Grrr.

- Ha! Jeszcze czego? Milszy? Co mnie to obchodzi, że dawno nie miały do czynienia z ludźmi. Dziwią się? Jak ludzie wśród nich konają? Też mi coś. Milszy – dodał pod nosem. Po raz kolejny poczerwieniał na twarzy, tym razem ze wstydu. – Idziemy.

Pierwszy zakręt pożegnał ich ze skalnym plemieniem na zawsze.

* * *

Szlak był niebezpieczny. Kamienne stopnie były śliskie jak rybie łuski. Od czasu do czasu kawałek schodka kruszał pod ich nogami, a śmiercionośny gład przelatywał obok, ale nie zwalniali marszu. Miejscami droga wydrążona była w skale, prowadząc ich przez spowite w całkowitych ciemnościach tunele, długie i wilgotne jak smocza gardziel. Czasem stopnie były tak wysokie, że musieli się na nie wdrapywać, jednak z każdym krokiem zbliżali się do zamku.

Po niebie przelatywał ptak. Szybujący cień minął ich z oddali i zniknął za zboczem. Karnawał bałwanów spowitych z burzowych chmur trwał na całego. Błyski piorunów rozchodził się po okrytym zaśnieżonym całunem niebie. Stopnie były wąskie, przez co musieli iść gęsiego. Bestia szedł przodem, a za nim podążała jego towarzyska. Po chwili ten sam, lub inny ptak wrócił i zawisł nad nimi, tym razem w towarzystwie innego. W końcu nad ich głowami krążyło tuzin czarnych jak onyks smug.

Wędrowcy wdrapali się na skalny taras. Bestia zatrzymał pochód i zaczął obserwować szybującą sforę.

Jeden z ptaków opuścił krąg i zapikował wprost na mężczyznę z prędkością błyskawicy. Z impetem zaatakował Łowcę, wbijając się niczym lanca w jego tors i przelatując na wylot. Krew wraz z wnętrznościami rozbryzgnęły się i stygły na zimnym kamieniu – leniwie parując. Głowa Bestii przechyliła się nad lewą ramię. Cienka stróżka posoki wyciekała z jego ust; konwulsyjny kaszel uwolnił większe jej ilości. Poczul wewnętrzny chłód owładający jego ciało, absorbujący jego duszę. Plamy przed jego oczami mnożyły się jak króliki. Chwilę potem nie czuł nic.

Chwile były jego specjalnością. Przewidywał te nadchodzące, czasem mógł wpływać na te przeszłe. A może dzięki wizji przyszłej chwili mógł manipulować przy tych, które mają przejść do przeszłości? Szósty zmysł, czy nadprzyrodzona umiejętność: nazywajcie to jak chcecie. W jednej chwili – nim, jeszcze zawieszony pod chmurami czarny latający stwór, zdążył wyruszyć w morderczy lot - zdjął z pleców żółwią skorupę i w ostatnim momencie zasłonił przed atakiem, kolejny raz uciekając z pod potężnego tasaka kobiety, z którą tak często miał okazję flirtować – śmierci. Ptak roztrzaskał się na tarczy, czemu towarzyszył skrzek i rozprysk piór.

Bestia miał chwilę żeby przyjrzeć się napastnikowi: długi spiczasty dziób (teraz wygięty w harmonijkę) stanowił większość łysego, bezokiego łba; skrzydła potwora porastały ociekające smołą pióra (teraz trochę wybrakowane); zaś ciało ćwiekowane było czymś, co przypominało kamienie węglowe. Czas na autopsję został wyczerpany. Nie czekając na zaproszenie pozostała część podniebnej sfory ruszyła w ślad za poległym kompanem.

Niedźwiedzica machała w powietrzu uzbrojonymi w śmiercionośne pazury łapami. Bestia, skryty za skorupą, czekał na dogodny moment, by przejść do kontrataku. Niesamowicie szybkie ptaki, okazały się być równie mocarne. Silne szpony pochwyciły go za kozery kozucha i uniosły nad przepaść. Łowca upuścił żółwią skorupę na skalną półkę i lewą ręką złapał za nogi jednego z porywaczy, podczas gdy prawą sięgnął do kieszeni po swój kozik. Kołysał się na boki, a mroźny wiatr owiewał mu poliki. Naczynka na jego twarzy poszerzyły się; skóra zabarwiła czerwienią. Kieszeń wydawała się głębsza niż kiedykolwiek. Łopotanie zlepiionych czarną mazią skrzydeł zagłuszał raz po raz grzmot błyskawicy. Wyszarpnął z kielni dłoń zaciśniętą na trzonku noża. Razem z dłonią, z kieszeni wyleciał mały tomik z pożółkłymi kartkami. Książeczka leciała długo, aż zderzyła się z pierwszą skałą, odciskając na niej usta w brutalnym pocałunku. Na okładce widniała postać nagiej kobiety (łudząco przypominającej figurkę, którą wyrzeźbił na pograniczu z lasem); jej piersi i łono zakrywały płatki ulatujące z róży, którą trzymała w zgrabnej dłoni. Ogłuszający skrzek raniący uszy. Jeden z ptaków-porywaczy runął rozcięty na dwoje. Rozprysk krwi zrosił twarz Bestii kroplami bólu i nagłej śmierci. Magiczne ostrze przecinało powietrze, raniąc ptaki znajdujące się poza jego zasięgiem. Rozbłysk światła. Potworny skrzek i zagłuszający go grzmot. Bestia gibał się w powietrzu jak niedopracowana kukła. Betsy walczyła na skalnej półce, ściskając ciało jednego z rywali w poplamionej szkarłatem paszczy. Pioruny przecinały niebo z sumiennością znakomitego krawca; prezentując moc, wykraczającą po za moc magiczną. Para ptasząt została obrócona w popiół przez świetlne kły; przekroczyły wrota śmierci tak szybko, iż nawet nie zdawały sobie z tego sprawy. Z prochu powstałeś, w proch się obrócisz, ale bez obaw - nawet nie zauważysz.

Bestia schował niepozorną broń z powrotem do kieszeni i uwolnioną ręką chwycił trzymającego go ptaka za jedno ze skrzydeł. Szorstka dłoń zsunęła się z oleistej kończyny sklejjąc ze sobą jego palce. Kolejna próba; tym razem złapał ptaszka za dziób. Ten próbował zaprotestować skrzekiem, lecz udało mu się tylko gardłowo jęknąć. Bestia czuł w dłoni chłód hartowanej stali – szarpnął, kierując ptaka ku skalnej półce. Opuścił się, gdy tylko się nad nią znalazł, wcześniej łamiąc dolne kończyny ptaszyska. Niedobitki powietrznej sfory, czmychnęły okaleczone, ginąc im z oczu.

- Pieprzone kurczaki! – wykrzyknął.

- Grar – odpowiedziała mu Betsy, wcześniej pozbywszy się czarnego ptaka z ust, wciąż mając przyklejone do dziąseł oleiste pierze.

- Tak. Wiem. Kurczaki nie latają. Kolejny raz. Jak nie umoralniasz, to wytykasz błędy.

Lecz Betsy już nie słuchała, zajęta była oblizywaniem futra z krzepnącej krwi, póki wcale mocny kopniak w zad zerwał ją na cztery łapy.

- Nie czas to, na twoją toaletę. Coś mi się widzi, żeśmy niedaleko. Ruszaj dupsko! Idziemy.

I nie mylił się. Po pokonaniu dwóch zakrętów znaleźli się na szczycie. Potężny piorun rozświetlił ponure zamczysko.

* * *

Strzeliste wieże zamku – a było ich dwadzieścia dwie – drapały po brzuchach rozgniewane chmury. Znajdowali się na niewielkim płaskowyzu. Po pokonaniu ostatnich stopni - a było ich tak wiele, że łydki i uda Bestii domagały się odpoczynku, nawet Betsy wyglądała na zmęczoną – krajobraz ziemi, jaki wygląd całeum uległ zmianie. Kolor chmur z szarego zmienił się w czerwień jabłka grzechu zerwanego przez Adama i Ewę w miejscu, które nazywają dziś rajskim ogrodem. Przez rumiane chmury przebiegał kontur bryły księżycy wraz z jego oceanami. Rdzawa poświata sprawiała, iż deszcz wyglądał jak krew spadająca z otwartych ran nieba. Bestia i Betsy kroczyli po chodniku wybrukowanym, błyszczącymi od deszczu, ludzkimi czaszkami. Teren był otwarty, toteż nic nie stało na przeszkodzie puklom wiatru, które owijały się wokół nich; niewidzialne dłonie powietrza napędzanego ześwirowanymi skokami ciśnienia, starały się odciągać ich od przeznaczenia. Kroczyli ostrożnie, zapominając o pośpiechu. Z boku obserwowały ich cienie pokracznych istot; kształtem podobne do ludzi, mimo wszystko dalece od nich różne. Bestia wyciągnął z rękawa oliwkową chustkę i przetarł nią twarz; psotny wiatr wywiał mu ją z ręki i posłał w stronę jednej z tajemniczych istot. Złapany w spowitą czerwonym spektrum dłoń materiał, zachował swój kolor kontrastując z otoczeniem, w parodii barw. Istota – nowy właściciel oliwkowej chustki – ledwo zbliżyła chustę do nosa, w celu powąchania jej (takie przynajmniej wnioski wyciągnął z całego zajście Bestia), gdy wokół niej narodziło się od innych, do niej podobnych, a jednocześnie niepodobnych wcale, intruzów. I teraz wszyscy toczyli walkę o przedmiot, którego – przez ową scenę – znaczenie awansowało do roli niemal artefaktu.

Bestia popatrzył na niedźwiedzicę. Ta odwzajemniła spojrzenie, dając mu znać, że w każdej chwili gotowa jest, by stanąć do walki u jego boku. Niepotrzebnie jednak się niepokoił. Ciekawskie istoty, może lekko się do nich zbliżyły, ale dalej z bezpiecznego dystansu - odprowadzając ich wzrokiem – pozwoliły by w spokoju podążali ścieżką, wyłożoną ludzkimi czaszkami.

Zamek. Olbrzymia budowla. Zdawał się być postawiony z jednolitej bryły, bóg wie jakiego materiału. Zależnie z jakiego kąta nań spojrzeć, zmieniał barwę od czerwieni, przez zieleń, by na ciemnym błękitcie poprzestać. Budowla czasami starała się wdrzeć do wnętrza głowy dziwnymi dźwiękami, czasem energią bezdźwięczną, nie posiadającą barwy, jednak wywołującą poczucie przygniecenia – dziwnym magnetyzmem. Stali u drzwi zamczyska. Bestia wraz z Betsy. Nareszcie.

Dwa skrzydła. Wysokie na trzy metry, szerokie na dwa; wyglądały na nie do sforsowania i zapewne takimi były. Na wysokości głowy Bestii tkwiła przytwierdzona do drzwi kołatka w kształcie kiści winogrona. Sięgnął doń chcąc ją podnieść, lecz okazała się zbyt ciężka. Wspomógł się drugą ręką i roniąc krople potu w końcu mu się udało. Żelastwo opadło i wałnęło w drzwi z... Brak jakiegokolwiek dźwięku. Drzwi zawibrowały, jednak nic się nie wydarzyło; Betsy przejechała pazurami po drewnianych wrotach, nie pozostawiając na nich nawet ryski. Pojedynczy piorun uderzył w najwyższą z wieżyc, rozchodząc się po całej strukturze zamczyska. Bestia ponownie sięgnął po kołatkę, w tym momencie drzwi zaczęły się otwierać do środka, z jękiem wybudzającego się monstrum.

- To tutaj – stwierdził oczywistą rzecz Łowca.

Stali przed zatopionym w mroku wejściem do zamku, gapiąc się weń. Wyglądali jak te cholerne jedno-okie głazy. Betsy zbliżyła się ważąc każdy krok; jej nos badał powietrze. Bestia dogonił ją i położył dłoń na zadartym do góry łbie.

- Śmiało maleńka – powiedział i razem weszli w mrok.

Drzwi zamknęły się za nimi ze znajomym jękiem.

* * *

Wewnątrz unosił się zapach stęchlizny. Stali w wielkim hallu, tak obszernym, że mógłby pomieścić inny mały zamek. Posadzka była gładka, wykonana chyba z czarnego marmuru. Na jej powierzchni tańczyły płomienie, odbite z czterech kominków znajdujących się, po jednym na każdej ze ścian; tak duże, że Bestia mógłby w którymś zamieszkać, gdyby nie palące się w nich ogniska. Ściany były bogato zdobione rzeźbami i obrazami; zbyt obficie by móc się skupić na jednym elemencie. Z sufitu - niemal nieosiągalnego wzrokiem - zwisał żyrandol; mieniające się zielenią błękitem i fioletem kryształły imitowały pawie ogon. Dookoła pełno było drzwi, balkonów i schodów z długimi balustradami. Jednym z głównych ozdobników były także pajęczyny, zarówno pajęcze, jak i te z kurzu. Jeden z obrazów szczególnie zaciękał Bestię, znajdował się na nim mężczyzna (widniejący też na wielu innych obrazach) w otoczeniu kamiennych istot; Bestia mógłby przysiąc, że widzi tam ułomnego cyklopa w raz z jednorękiem Mojżeszem.

- Witajcie – dobiegł ich głos zewsząd, jednak należący do jednej osoby.

Ciemnobłękitna chmura zsunęła się na nich okręcając się wokół Bestii niemal całkiem go przysłaniając. Betsy ryknęła obnażając kły, lecz nie za bardzo wiedziała co ma zrobić.

- Spokojnie drapieżna przyjaciółko – przemówił do niej dym, powoli odsłaniający Bestię i separując się od niego.

Przed nimi zmaterializował się wysoki - wzrostem konkurujący z Bestią – blady mężczyzna w czarnym płaszczu, zdobionym szkarłatnym aksamitem. On był mężczyzną widniejącym na obrazie, lecz teraz Bestia zauważył, że postać z obrazu zniknęła, pozostawiając na nim kamienny lud samemu sobie. Mężczyzna nie miał odpicia na marmurowej posadzce – opuścił go także jego cień. Ukłonił się nisko, jedną ręką – przytrzymującą połę czarnej peleryny –przykładając w miejsce, gdzie powinno znajdować się ludzkie serce. Teraz patrzył im w oczy, obydwójgu jednocześnie, tak jakby istniał dla każdego osobno. W jego spojrzeniu kryło się życie i śmierć z dominacją tego drugiego. Stali przy jednym z kominków. Bestia nie wiedział jak i kiedy się przy nim znaleźli. Mężczyzna usiadł na fotelu, którego Bestia wcześniej nie zauważył.

- Czekaliśmy na was i w końcu jesteście. Usiądź, proszę, Sirlodzie – rzekł wskazując ręką za plecy Bestii i zakładając nogę na nogę.

Skonsternowany Bestia obejrzał się i zobaczył za sobą taki sam fotel, na którym zasiadł przed chwilą gospodarz.

- Ja... - chciał coś powiedzieć, nie do końca wiedząc co.

- Ty, drogi Sirlodzie, przybyłeś tutaj, gdyż cię o to poprosiłem. My cię o to poprosiliśmy. Musisz wybaczyć mej damie. Kobiety mają w zwyczaju nad wyraz się nie śpieszyć, kiedy przychodzi im się szykować do wyjścia. Pozwól, że ponownie cię poproszę, byś usiadł, to może zająć jeszcze chwilę.

Bestia otrząpał się i doszedłszy do siebie – może nie całkiem. Odrzekł sucho:

- Dziękuję, postoję. Teraz pozwól, że ja zadam ci pytanie. Skąd znasz moje imię? Bo, mówię ci, nie słyszałem jego brzmienia... Będzie parę lat.

- Ludzie noszą nadane im imiona, sam mam ich kilka – odpowiedział, niezbyt zainteresowany tematem. - Ale o czym to ja...? Ach, tak. Mieliście jakieś ciekawe przygody podczas drogi?

Bestia przypomniał sobie o chomiczym księciu elfów i o kamiennym plemieniu, a także przeklętych ptaszyskach, jednak odrzucił wspomnienia na bok.

- Do licha z naszymi przygodami – rzucił, sięgając ręką do kieszeni kożucha, który zdążył się już wysuszyć przy ogniu z kominka.

Wyciągnął dłoń i z nietęgą miną zajrzał do drugiej kieszeni. Betsy patrzyła na niego z niepokojem.

- Nie ma jej – powiedział. – Książka. Musiałem ją gdzieś zgubić. Przepadła. Pewnie przez te cholerne ptaszyska! Mówię ci!

Zza placów mężczyzny siedzącego w fotelu wyłoniła się znikąd piękna kobieta. Stojąc lekko bokiem, opierała dłoń na oparciu fotela, w drugiej trzymając szklaną lufkę z żarzącym się wściekle papierosem, którego właśnie oderwała od ust. Wypuściła w górę cienką stróżkę dymu, zadzierając przy tym - pomalowaną bordową szminką - dolną wargę. Strzepała popiół do popielniczki, którą podstawił jej mężczyzna.

- Po co ten pośpiech, najdroższa? Jak zwykle gotowa i elegancka w niespełna chwilę – odezwał się gładkim głosem mężczyzna.

Kobieta miała na sobie czarną suknię z wąskimi ramiączkami. W zgięciach łokci przytrzymywała aksamitny szal koloru szminki na jej ustach, przeciągnięty za jej odsłoniętymi plecami. Czarne włosy, gdzieśgdyś spięte ozdobnymi spinkami, w większości miała rozpuszczone. Kobieta także nie posiadała odbicia, ni cienia.

- Kochanie, twoje słodkie kłamstwa rozpoznaję po ich subtelnym zapachu – odezwała się namiętym głosem; z wiśniową szminką kontrastowały białe jak porcelana zęby, wśród nich dwa odznaczające się kły; na co mężczyzna wykrzywił usta w chłodnym, wyrafinowanym uśmiechu.

- Nie przeczytałeś jeszcze swej książki, Łowco? – Spytała Bestię.

Zaczerwieniony Bestia, jakby zmiękł. Spuścił głowę i patrząc na swe odbicie w marmurowej posadzce odparł:

- Pani – uklonił się lekko. – Przeczytałem książkę. Ha! Przeczytałem nawet kilka razy – podniósł głowę celując kartoflanym nosem w kobietę palącą cienkiego papierosa.

- Problem w tym, że gdzieś ją zapodziałem. Bardzo przepraszam. Ja...

- Dostaniesz kolejną część, którą niedawno skończyłam – przerwała mu. – To będzie nagroda za wykonanie zadania. Dlatego tutaj jesteś, prawda?

Zaciągnęła się papierosem – czerwona kropka przesunęła się w kierunku szklanego ustnika – i, niczym czajnik z wrzącą wodą, wypuściła kolejną smugę słodkiego dymu.

- Tak, ja...

- Dostaniesz i tamtą, jeśli dobrze się spiszesz – ponownie przerwała Bestii, który teraz przypominał małego chłopca z wielkim rubinem zamiast głowy.

Betsy już dawno, zażenowana zachowaniem swojego pana, odcięła się od wszystkiego i zajęta była doprowadzaniem do porządku swojego futra.

- Wybacz najdroższa, lecz już czas abyśmy wyruszyli, bal zapewne już się zaczął – wtrącił mężczyzna, podnosząc się z fotela.

- Drogi Sirlodzie. Dzieci bawią się w komnatach. Jeszcze nie do końca panują nad swoją żądzą krwi, a my nie chcemy naruszać warunków pokoju. Na szczęście ich zdolności magiczne, jeszcze się w pełni nie rozwinęły, więc przypilnowanie ich, by nie opuściły zamku, nie powinno sprawić ci większych problemów. Jak wiesz sojusz niesie i ludziom i nam wiele korzyści, a bal...

- Przepraszam, droga Pani – zawołał Bestia, ignorując wywody mężczyzny. Kobieta spojrzała na Bestię, gasząc papierosa w popielniczce. – Czy ja mógłbym...

- Ależ naturalnie – kobieta uśmiechnęła się ujawniając dwa długie kły, jeden odrobinę dłuższy. – Proszę – sięgnęła smukłą dłonią pod szal koloru dojrzałego owocu wiśni i wyciągnęła do Bestii, trzymając niewielki tomik. – Spodoba ci się, to arcydzieło.

Po czym obydwójce – mężczyzna i kobieta – skondensowali się w dym i odlecieli, czego Bestia nawet nie zauważył, jego uwagę zaabsorbowała książka którą obracał w szorstkich dłoniach. Na okładce znów była naga kobieta, tym razem zdawała się unosić w powietrzu, z rozłożonymi na boki rękoma i głową odchyloną do tyłu; intymne miejsca zakrywały gwiazdy. Książkę zatytułowano „Łzy Elizabeth”.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Blastovitch, dodano 06.07.2018 07:06

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.